

## Dlaczego Kościół przestaje śpiewać?

Po 20 latach działalności w dziedzinie muzyki dawnej i 10 latach pracy na polu muzyki liturgicznej wiem z całą pewnością, że śpiew jest niezbędnym elementem każdej dobrej liturgii. Z drugiej strony wiem również, że codzienna praktyka liturgiczna tej niezbędności wcale nie potwierdza. Także i ja długo nie widziałem większego związku między tym, co w życiu zawodowym znałem śpiewem i muzyką, a tym, co towarzyszyło liturgii Kościoła. To pierwsze bowiem podlegało kryteriom estetycznym i emocjonalnym, podczas gdy drugie miało być ponoć jedynie muzyką użytkową, która kryteriom muzycznym poddawać się nie zamierzała. Początkowo godziłem się z tą dwoistością, nawet z podwójną naturą tych samych utworów, śpiewanych w różnych okolicznościach. Oswoiłem się z myślą, że rezultaty mojej pracy, poza krótkimi fajerwerkami prezentowanymi w świątyni i luźno tylko związanymi z istotą liturgii, chyba nigdy nie będą służyły mojemu Kościołowi bezpośrednio. Cóż — tłumaczyłem sobie — liturgia tak się zmieniła przez wieki, że muzyka sprzed siedmiuset czy dziewięciuset lat nigdy nie będzie już do niej pasować. Jedyne, co mnie w tym wszystkim niepokoiło, to fakt, iż w liturgiach wschodnich nie widziałem podobnego rozdzielenia. Muzyka liturgiczna jest tam nadal na tak wysokim poziomie, że nadaje się doskonale do wszelkich prezentacji koncertowych. Cóż, gdy śpiew Kościołów wschodnich był dla mnie tak różny od wszystkiego, co wiedziałem na temat naszej tradycji, tak dziwny, choć fascynujący, tak obcy i tak egzotyczny, że mimo iż podziwiałem jego sztukę, to jednak zawierzyłem oficjalnej, uspokajającej teorii: to są zupełnie różne tradycje, nie mające wspólnych korzeni. Oni mają swoją tradycję, a my swoją. "Kościół to nie rynek w Damaszku" — jak powiedział pewien duchowny, odpowiedzialny za śpiew w dużej diecezji, najwyraźniej niechętnie łącząc działalność świętego Pawła z tym miastem.

Z czasem jednak zauważałem coraz wyraźniej to, co dzieje się dosłownie na moich oczach: muzyka w Kościele nie tylko ubożeje, ale wręcz zanika. Oto w ciągu ostatnich 15 lat upadł całkowicie chorał gregoriański, zanika zwyczaj śpiewania Mszy przez kapłanów, zaprzestano śpiewania Ewangelii, łacina w liturgii stała się językiem budzącym zasadnicze podejrzenia, wierni w parafiach miejskich odmówili współpracy z organistami, a w parafiach wiejskich, ostrzegawczo, ściszyli znacznie swój śpiew. Dwa lata temu w gotyckiej katedrze w Louvain, siedzibie słynnego uniwersytetu katolickiego, zobaczyłem po raz pierwszy magnetofon, jako jedyną formę obecności muzyki na Mszy świętej. Ten fakt zmusił mnie do radykalnej refleksji: "oni mają swoją tradycję", a my jesteśmy na najlepszej drodze do tego, aby nie mieć żadnej.

Dzisiaj liturgię recytowaną, a nie śpiewaną, uważam za niepełną. Tak zresztą myślano powszechnie w Kościele rzymskim jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Wszystkie Kościoły obrządków wschodnich — także katolickie — nadal stosują tę zasadę praktycznie w pełnym zakresie. Liturgia jest tam prawie wyłącznie śpiewana, a nawet fragmenty recytowane wykonywane są w formie inkantacji, pełnej czysto muzycznych środków, począwszy od intonacji, przez rytmizację, aż po bogate ozdobniki. Proste odczytanie tekstów liturgicznych w czasie celebracji byłoby tam

---

<sup>1</sup> Marcin Bornus-Szczyciński — ur. 1951, jeden z pionierów wykonawstwa wokalne muzyki barokowej w Polsce, założyciel zespołu "Bornus Consort", specjalizującego się w polskiej polifonii przełomu XVI i XVII stulecia. Ostatnio poświęcił się jednogłosowej muzyce liturgicznej. Sam siebie, chętniej niż muzykiem, nazywa "tradycjonarzem", zajmującym się rozpoznawaniem, utrwalaniem i upowszechnianiem rozmaitych tradycji lokalnych. Uczy śpiewu gregoriańskiego w seminarium dominikańskim w Krakowie, prowadzi Festiwal "Pieśń Naszych Korzeni" w Jarosławiu i projekt "Siedem Tradycji" w ramach Festiwalu Kraków 2000.

niedopuszczalną prywatyzacją i desakralizacją tradycyjnych formuł Słowa. Dlatego warto przypomnieć pierwsze zdanie z rozdziału o muzyce sakralnej w Konstytucji o liturgii świętej "Sacrosanctum Concilium" (KL), uchwalonej podczas Soboru Watykańskiego II w 1963 r.: Tradycja muzyczna całego Kościoła stanowi skarbiec nieocenionej wartości, wybijający się ponad inne sztuki, przede wszystkim przez to, że śpiew kościelny związany ze słowami jest nieodzowną oraz integralną częścią uroczystej liturgii (KL VI, 112). Realizacja postanowień tego dokumentu obowiązuje nasz Kościół katolicki aż do następnego soboru powszechnego. Konstytucja będzie najlepszym przewodnikiem do rozważań o sytuacji śpiewu w Kościele i wielokrotnie będę do niej powracać.

Śpiew jest mocnym i właściwie jedynym znanym mi środkiem zapewnienia Słowu godnej formy jego głoszenia. Recytacja tekstu obciążona jest dużą ilością subiektywnych środków, użytych przez celebującego. Mimika, która stała się bardzo ważna, odkąd sprawuje się Msze przodem do ludzi, natężenie głosu, sposoby akcentowania — to wszystko w recytacji jest subiektywne i często przypadkowe. Natomiast śpiew tonuje i obiektywizuje wszystkie te de facto aktorskie środki i pozwala docierać słowu do słuchacza znacznie lepiej, niż za pomocą recytacji. Uważa się powszechnie, że słowo powiedziane wprost dociera do ludzi lepiej, a muzyka jedynie zaciemnia jego sens. Tak może być istotnie w przypadku tekstów napisanych specjalnie do recytowania, gdzie sposób mówienia sugerowany jest przez konstrukcję tekstu (na przykład znaki przestankowe, zmianę układu wiersza, powtórzenia zdań czy wyrazów). Jednak teksty liturgiczne nigdy nie były przeznaczone do czytania w czasie celebracji i tych wszystkich objaśnień nie posiadają. Ponieważ nie były recytowane, nie ma też żadnej tradycji recytacji, nie ma się więc skąd jej nauczyć. Słowo recytowane, nawet w najbardziej zaawansowanej retoryce, posługuje się jedynie realnym czasem jego wypowiedzenia. Nie jest to jednak czas, którego potrzebujemy na to, by słowo do nas dotarło, a tym bardziej, by stało się pokarmem duszy. Natomiast konstrukcja muzyki tradycyjnej uwzględnia ten psychologiczny, czy wręcz fizjologiczny problem percepcji tekstu. Jeśli wymaga tego chwila, mamy do dyspozycji na przykład melizmat, czyli dłuższą lub krótszą frazę muzyczną na jednej zgłosce, która daje nam czas na usłyszenie i przetworzenie ostatniego usłyszanego słowa, albo wręcz cofnięcie się myślą do całego zdania. Muzyka "myśli" o tym wszystkim za nas. Ten środek przekazu (nawet w sensie przekazu czystego) sprawdzony został nawet nie przez stulecia, ale przez tysiąclecia i nie widzę żadnego powodu, by zastępować go jakimiś nowymi, subiektywnymi środkami wypowiedzenia tekstu. Dzisiejsza powszechna wiara w skuteczność czystej semantyki tekstu jest mocno przesadna i nie znajduje potwierdzenia w pozytywnych doświadczeniach liturgicznych.

Tymczasem śpiew w czasie liturgii obrządku rzymskiego przeżywa dziś nie kryzys, a po prostu zanika. Przyczyny tego stanu rzeczy upatruje się najczęściej w upowszechnieniu uczestnictwa wiernych w obrzędach, a zatem w masowości tego aktu. Powoduje to z jednej strony eliminację zespołów muzycznych, także zawodowych, z drugiej strony dostosowuje śpiew do średniej możliwości wiernych, czyli jakoby obniża średni poziom śpiewu. Słabiej, za to powszechniej. Coś za coś. W tle tych zmian, jako główny odpowiedzialny, pojawia się ostrożnie i rzadko wymieniany z nazwy Sobór Watykański II z jego reformami. Zupełnie nie zgadzam się z tym poglądem i przyczyny kryzysu liturgicznego widzę gdzie indziej. Nie sądzę też, aby prawdziwe przyczyny zaniku śpiewu były trwałe i nieodwracalne. Postaram się zilustrować mój pogląd, stawiając szereg pytań.

## Jaki śpiew powinien dominować w naszej codziennej liturgii?

Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w Konstytucji: Śpiew gregoriański Kościół uznaje za własny śpiew liturgii rzymskiej. Dlatego w czynnościach liturgicznych powinien on zajmować pierwsze miejsce wśród innych równorzędnych rodzajów śpiewu. (KL VI, 116) Nie wiem, czy przeprowadzano badania statystyczne, dotyczące aktualnego udziału chorału gregoriańskiego w czynnościach liturgicznych w Polsce i na świecie. Byłyby to badania proste i pouczające. Tymczasem już moje własne, pobieżne szacunki wskazują, że śpiew ten używany jest w Polsce jedynie przez niektóre zakony, i to w niewielkich ilościach: u benedyktynów tyńskich w 30% w liturgii godzin i poniżej 10% we Mszach, u krakowskich dominikanów — odpowiednio — w 20% i w poniżej 1%. U znanych mi franciszkanów nie stwierdziłem użycia tego śpiewu w ogóle. W obserwowanych przeze mnie około dwudziestu parafiach miejskich i wiejskich jego wykorzystanie nie przekracza 1% liturgii. Pobieżne obserwacje parafii francuskich, włoskich, belgijskich i niemieckich wskazują na całkowity zanik w liturgii chorału gregoriańskiego. Minimalnym pocieszeniem może być sytuacja w Kościołach niektórych, niezbyt dużych krajów: Czesi używają chorału w sposób zauważalny, a obie parafie katolickie w Estonii posługują się nim aż w 60%. Ogólny obraz jest jednak przygnębiający. Okazuje się więc, że nie wiemy, co mamy śpiewać w czasie liturgii.

## Dlaczego nie śpiewamy chorału gregoriańskiego?

Po pierwsze — chorał, który znamy (jeśli w ogóle mieliśmy szczęście go poznać), w znacznym stopniu nie jest tym samym, który został nam przekazany przez tradycję. Bezgraniczna wiara końca XIX wieku w doskonałość notacji muzycznej kazała wielkiemu reformatorowi chorału, francuskiemu benedyktynowi Dom Moquerau z opactwa Solesmes odrzucić istniejącą wówczas żywą tradycję, jako ponoć skażoną, i zastąpić ją interpretacyjnymi spekulacjami, dokonanymi na podstawie analizy najstarszych manuskryptów muzycznych z X–XIII w. W efekcie powstał nowy, nigdy przedtem nie istniejący chorał, który w 1903 r., po burzliwej dyskusji, został uznany przez papieża Piusa X za powszechnie obowiązujący w Kościele rzymskim. Przyjął się on w intelektualnych środowiskach kościelnych i z oporami w zakonach, zwykle z opóźnieniem 20–30 lat. Na tradycyjnych obszarach wiejskich właściwie nie pojawił się nigdy. Słabo zakorzeniony, dosłownie upadł na naszych oczach, pod pretekstem wprowadzania języków narodowych do liturgii po Soborze Watykańskim II. Ten właśnie chorał — przeintelektualizowany, pełen uproszczeń teologicznych (np. z jakoby anielskim sposobem przecieniania i odrealniania głosu), odarty w odruchu fałszywej skromności z ozdóbek, czyli z podstawowej mocy śpiewu jednogłosowego, stawiający śpiewakowi nierealne wymagania wykonywania kilometrowych fraz bez oddechu, odcinający się od swoich bliskowschodnich i greckich korzeni, mimo tych wszystkich wad — zaistniał realnie dzięki milionom godzin, przemodlonych nim na całym świecie przez ostatnie sto lat. W sztuczny twór tchnięty został autentyczny duch modlitwy. Nie można tego lekceważyć, chcąc podejmować jakiegokolwiek kroki reformatorskie.

Z powyższych zdań można odnieść słuszne wrażenie, że nie należę do miłośników tego sposobu śpiewania. Uważam jednak, że tak jak w 1903 roku, jak w roku 1963, tak i dziś, jako wierni Kościoła rzymskokatolickiego powinniśmy w duchu zaufania i posłuszeństwa znać i dokładnie wypełniać podstawowe przepisy liturgiczne. Gdybyśmy jako społeczność Kościoła postępowali tak przez ostatnie 30 lat, nasza sytuacja byłaby dziś zupełnie inna. Przechowalibyśmy tradycję w solesmeńskim chorale gregoriańskim i ludowym dziewiętnastowiecznym chorale, przechowalibyśmy łacinę jako język liturgiczny, przechowalibyśmy podstawowe melodie aż do czasu przywrócenia

należytego miejsca tradycji ustnej. Stało się jednak inaczej i właściwie nie mamy się dziś do czego odwołać. Nie wiemy już, jak używać naszego podstawowego śpiewu liturgicznego.

Przypominam sobie wypowiedź pewnego śpiewaka tradycyjnego z okolic Suwałk, który był członkiem chóru parafialnego i znał na pamięć praktycznie wszystkie śpiewy roku liturgicznego. Nie zauważył on właściwie zmian i napięć, jakie wstrząsały Kościołem w ostatnich dziesiątkach lat. Upadek liturgii upatrywał on tylko i jedynie w braku wykształcenia młodego następcy starego, zasłużonego proboszcza. Tamten umiał i śpiewał, a ten nie umie i nie śpiewa ("I mówie temu łorganistemu, niech łon mie to łoremus łodśpiewa"). Tak właśnie często powyższe zmiany są postrzegane — wyłącznie w kategoriach wiedzy lub ignorancji.

### W jakim języku śpiewać?

Dopiero tutaj, na drugim miejscu, wśród przyczyn zanikania chorału wymieniłbym upowszechnienie się języków narodowych kosztem łaciny. Nie dość przypominania w tej sprawie stanowiska Soboru: W obrządkach łacińskich zachowuje się używanie języka łacińskiego, poza wyjątkami określonymi przez prawo szczegółowe (KL III, 36, §1). Zatem w 1963 roku nikt jeszcze nie przewidywał, że 30 lat później to właśnie łacina stanowić będzie wyjątek. Pamiętam doskonale, jak jeszcze pod koniec lat siedemdziesiątych przyjeżdżający do Polski kapłan z zagranicy odprawiał Mszę po łacinie i oczekiwał łacińskich odpowiedzi od wiernych. Dziś wydaje się to niemożliwe. Księża celebryją za wszelką cenę po polsku, czasem niemiłosiernie kalecząc ten język. Znam częste przypadki niepewności polskich księży, czy aby mają oni w ogóle prawo odprawiać Mszę po łacinie.

Konstytucja szczególnie dobitnie podkreśla konieczność użycia łaciny jako języka liturgicznego przy odmawianiu modlitw brewiarzowych: Zgodnie z wiekową tradycją obrządku łacińskiego duchowni mają zachować w oficjum język łaciński. Tym jednak duchownym, dla których język łaciński stanowi poważną przeszkodę do należytego odmawiania brewiarza, ordynariusz może w poszczególnych wypadkach pozwolić na używanie przekładu na język ojczysty (...) (KL IV, 101, §1). Czytając te słowa, nie mogę oprzeć się postawieniu prowokacyjnego pytania: czy łacina może stanowić dla wykształconego benedyktyna poważną przeszkodę do należytego odmawiania brewiarza? Czy można sobie wyobrazić, że nie rozumie on tekstu 150 psalmów łacińskich aż do ostatniego słowa? Więcej: czy odmawiając rano psalmy rozumie je, bo odmawia po polsku, a po południu, śpiewając nieszpory po łacinie, nie rozumie tego, co śpiewa? To oczywiście *reductio ad absurdum*. Chyba żaden praktyk modlitwy brewiarzowej nie neguje wielkiego pożytku z umiejętności śpiewania psalmów na pamięć. Pewien dość młody liturgista jednego z polskich zakonów powiedział mi, że dopiero po opanowaniu psalmów na pamięć zrozumiał naprawdę sens tej modlitwy. Nowicjusze klasztorów koptyjskich jako jedyne zadanie w okresie nowicjatu mają nauczenie się na pamięć wszystkich psalmów w liturgicznym języku koptyjskim, nie będącym w użyciu codziennym od siedmiuset lat. Zwykle opanowują je w kilka miesięcy. Podobnie jest w klasztorach greckich, w których nowicjusze uczą się na pamięć psalmów w języku koine, znacznie różniącym się od współczesnej greki, czy u prawosławnych z liturgią w języku staro-cerkiewno-słowiańskim.

Powróćmy jednak na nasz rodzimy grunt. Proszę sobie wyobrazić starego zakonnika, który 40–50 lat temu nauczył się na pamięć 150 psalmów łacińskich, jak to było w zwyczaju. Wprowadzenie psalterza polskiego do modlitw chórowych eliminuje go z praktycznego uczestnictwa, ponieważ w tym wieku zwykle nie może on już sprawnie czytać i tym samym ani śledzić, ani nauczyć się

następnych 150 psalmów po polsku. Na tym nie koniec. Po południu nasz zakonnik czeka z radością na nieszpory łacińskie. Nic z tego! Tekst łacińskiego przekładu Wulgaty został w wielu miejscach poprawiony. Wystarczy zmienić kilka wyrazów i ich szyk w dziesięciu miejscach w psalmie, żeby wyeliminować możliwość jego odśpiewania przez osobę, która zna na pamięć poprzednią wersję. Konstytucja wspomina o problemie rewizji przekładów: Pomyślnie rozpoczęte dzieło krytycznego przeglądu psalterza należy jak najrychlej doprowadzić do końca, biorąc pod uwagę łacinę chrześcijańską, zastosowanie liturgiczne także w śpiewie oraz całą tradycję Kościoła łacińskiego (KL IV, 91). Było wiele możliwych form przeprowadzenia tego przeglądu, jak choćby wprowadzenie komentarzy o tekście niepewnym, czy uszkodzonym przez poprzednie tłumaczenie. Wybrano jednak poważne interwencje w samym uświęconym tradycją tekście. Polscy dominikanie wprowadzili do liturgii nowy przekład... i po niepomyślnych próbach powrócili do klasycznej Wulgaty. Nie wszystkie zakony postąpiły z podobną przezornością. Przed wieloma starymi zakonnikami pojawiła się więc perspektywa nauczenia się na pamięć nie tylko 150 nowych psalmów polskich, ale jeszcze kolejnych 150 nowołacińskich. Gdyby ta sztuka im się udała, to znalazłyby na pamięć łącznie 450 psalmów!

W kulturze zachodnioeuropejskiej nie potrafimy skorzystać z mądrości ludzi starych. Nasi starzy zakonnicy, zamiast — jak to jest nadal na Wschodzie — w chórze północnym przewodzić i gorliwością oraz doświadczeniem nadawać ton modlitwom, dziś czują się niepewnie, niekompetentnie mrużąc coś pod nosem. Ideę chórów starszego (północnego) i młodszego (południowego) trzeba było zarzucić, bo chór północny zamierał. Nic dziwnego, że kiedy liczymy siły do modlitwy, bierzemy pod uwagę tylko młodych zakonników, starszych zaledwie tolerując. Tracimy w ten sposób ogromny potencjał, który przez wieki był podstawą siły monastycznej tradycji.

Język polski, niezależnie od błędów poczynionych przy jego wprowadzaniu, stanowi dziś podstawę lepszej lub gorszej celebracji. To nie tylko fakt dokonany — uważam, że użycie języka polskiego w liturgii w szerszym zakresie dałoby się pogodzić z postulatem zachowania żywej tradycji. Dowodzi tego historia liturgii. Kościół koptyjski zmienił w ciągu kilku pierwszych wieków swojego istnienia liturgię grecką na koptyjską, a w ciągu ostatniego tysiąclecia nieznacznie dopuścił do użycia język arabski. Kościół rzymski przez kilkaset lat stopniowo wymieniał liturgię grecką na łacińską. Jeszcze w rękopisach benewenckich z XI w. mamy te same melodie do dwóch różnych języków, z odmiennym podłożeniem tekstu. Na Rusi chrystianizacja zaczęła się od przetłumaczenia liturgii greckiej na staro-cerkiewno-słowiański. Wszędzie jednak zmian dokonywano pod jednym warunkiem: jakiś ważny element musiał pozostać nienaruszony. Prawie zawsze była to melodia. To ona, a nie tekst, była nośnikiem tradycji<sup>2</sup>.

Solesmeńska teoria chorału i nieszczęsne w skutkach, trwałe związanie chorału z łaciną, uniemożliwiły zachowanie melodii wraz ze zmianą języka. Dzisiaj, sto lat później, wiadomo już, że chorał nigdy nie był związany jedynie z łaciną. Trudno nawet powiedzieć, przez ile prajęzyków "przeszły" chorałowe moduły melodyczno-retoryczne. Praktyczne konsekwencje tego są poważne. Od czasów baroku przyzwyczajeni jesteśmy do zgodności akcentu słownego z akcentem muzycznym i jedynie taką konstrukcją muzyczną uznajemy dziś za retorycznie poprawną. Jednak z badań nad tradycyjną interpretacją wynika, że związek ten przy niektórych mocnych konstrukcjach rytmicznych,

<sup>2</sup> Wyjątkiem jest tu bardzo nietypowa reforma Cerkwi rosyjskiej w XVII w., która gwałtownie wymieniła tradycyjną muzykę jednogłosową na zachodnioeuropejską (także polską), wielogłosową — z dotychczasowym tekstem.

przy bogatej, melizmatycznej formie melodii, wreszcie przy powolnych, uroczystych tempach — nie musi być zachowany. Myślę, że w przyszłości doczekamy się poważnych tłumaczeń chorału gregoriańskiego również na język polski, czyli pracy, której dokonali święci Cyryl i Metody w X w. przy chrystianizacji Rusi. Zachowali oni w całości grecką muzykę i wyposażyli ją w nowy, staro-cerkiewno-słowiański tekst. Nie robili tego jednak na żywym organizmie Kościoła, ponieważ Kościół słowiański dopiero się tworzył.

### Kto ma śpiewać w kościele?

Przede wszystkim — przewodniczący zgromadzeniu kapłan. Można zachęcać wiernych do śpiewania, ale jeśli kapłan sam nie będzie tego czynić, to zachęty nie na wiele się zdadzą. Jeśli celebrans nie śpiewa, każda oprawa muzyczna wydaje się nie na miejscu. Muzyka celebrytuje bowiem mniej ważne fragmenty liturgii, podczas gdy celebrans jedynie "informuje" o modlitwach najważniejszych, domagających się celebracji w pierwszej kolejności.

Tymczasem księża generalnie przestają śpiewać Msze. Jest to poważny błąd formacyjny. Ksiądz profesor Jacek Salij OP w rozmowie ze mną wyraził zdziwienie i oburzenie faktem, że suma w jego macierzystym, klasztornej kościele św. Jacka w Warszawie prawie nigdy nie jest śpiewana i nikt nie widzi w tym problemu. Przekonałem się o tym wielokrotnie — młodzi księża rzeczywiście nie wiedzą, że śpiewać trzeba, że wynika to wprost z dwutysiącletniej tradycji Kościołów chrześcijańskich i z naszych własnych, rzymskich, obowiązujących przepisów liturgicznych. Uważa się, że recytacja jest bardziej naturalna i w sensie przekazywania znaczenia słów bardziej od śpiewu skuteczna. Polemizowałem z tym poglądem już na początku artykułu. Wielu księży sądzi ponadto, że rezygnując ze śpiewu uzyskują lepszy kontakt z wiernymi. A przecież nie chodzi tu o uzyskanie kontaktu z wiernymi w czasie odprawiania Mszy, tylko o zjednoczenie ich wokół Najświętszej Ofiary. Zastosowanie śpiewu może kapłanowi tylko pomóc w pogodzeniu tej pozornej sprzeczności.

Księża uważają także coraz częściej, że śpiewać nie umieją, a raczej że "nie mają głosu". Przyczyna takich odpowiedzi zwykle jest prosta. W społeczeństwie, w którym zaniechanie śpiewania staje się powszechne (i zaczyna wyróżniać nas negatywnie spośród wszystkich sąsiadów), śpiewać zwykle nawet się nie próbuje i na podstawie wydania kilku nieudanych dźwięków często podejmuje się decyzję o zamknięciu na całe życie. Z doświadczenia wiem, że 90% tych "nie śpiewających" kapłanów może i powinno śpiewać. Trzeba jednak ukazać im wzór do naśladowania. Biskupi wszakże, przekonałem się o tym wielokrotnie, świadomi swojego liturgicznego ministerium, najczęściej śpiewają odprawianą przez siebie liturgię. Dlaczego więc księża ich nie naśladowują? Może uważają, że jest to wyjątkowy przywilej biskupa? Może się to komuś wydać dziwne, ale taki właśnie pogląd jest wśród nich powszechny.

Pozostaje jeszcze problem wąskiego marginesu księży rzeczywiście pozbawionych daru śpiewania. Czy powinni próbować śpiewać mimo tej wady? Literatura dostarczyła nam głównie wielu anegdot, wyśmiewających owe nieudane próby. Jednakże jeden z moich przyjaciół przypomniał mi ostatnio słowa św. Augustyna, który wygłosił pochwałę kakofonusa, śpiewającego źle, ale czyniącego to w najlepszej intencji — na chwałę Bożą. W prywatnych rozmowach zachęcam dziś wszystkich księży do śpiewania, z doświadczenia bowiem wiem, że praktykowanie śpiewu przynosi samo przez się zaskakującą często poprawę.

Kardynał Danneels w książce "Reconstruire la liturgie" formułuje zdecydowany pogląd na temat konieczności celebracji liturgii: *celebrer d'abord, analyser aprçs*. Najpierw celebrować, ponieważ to jest najważniejsze, dopiero później analizować, opracowywać i reformować. A śpiew, dzięki swojej bardzo sformalizowanej konstrukcji wewnętrznej, jest kością celebracji. Jest tym, co w bardzo naturalny i zrównoważony sposób utrzymuje liturgię w porządku formy dramatycznej. Jeśli śpiewu braknie, celebracja traci formę i z konieczności zastępowana będzie wymyślanymi ad hoc środkami. Dopiero wtedy, gdy kapłani będą znów śpiewać, można zacząć zastanawiać się nad tym, jak mogliby śpiewać lepiej.

To samo odnosi się do wiernych w kościele, choć ich rola, odpowiedzialność i przykład dla innych są oczywiście mniejsze w porównaniu z obowiązkami kapłana. Sobór kładzie jednak mocny nacisk na czynny udział wiernych w liturgii, w śpiewie w szczególności. W tym właśnie celu Sobór dopuszcza do liturgii również inne rodzaje muzyki poza chórałem gregoriańskim. Jednak z gatunków muzycznych wymienia z nazwy tylko jeden, nadając mu tym samym szczególną rolę. To śpiew ludowy: *Należy troskliwie pielęgnować religijny śpiew ludowy, tak aby głosy wiernych mogły rozbrzmiewać podczas nabożeństw, a nawet w czasie czynności liturgicznych, stosownie do zasad i przepisów rubryk (KL VI, 118)*. Niestety, śpiew ten został w ostatnich kilkudziesięciu latach kompletnie zdezawuowany. Bynajmniej nie tylko w kościele.

W powszechnym mniemaniu wydaje się po prostu śpiewem prymitywnym, niegodnym zajmowania poczesnego miejsca w sprawach tak ważnych jak liturgia. Tymczasem to właśnie w tym śpiewie przechowało się najwięcej elementów tradycyjnego liturgicznego śpiewu jednogłosowego. Właśnie w tej chwili, bardzo szybko odchodzi w niepamięć ów powszechnie wyśmiewany śpiew starszych kobiet w kościele. Przeciwstawia mu się zwykle zaawansowane harmonicznie nowe kompozycje wielogłosowe. Ambicją każdego chóru parafialnego jest śpiewać na głosy, nie zważając na możliwości wykonania takich konstrukcji. Sprawdziłem doświadczalnie znany wszystkim fenomen wibrowania głosu starszych osób w chórach parafialnych. Okazało się, że wynika on jedynie z niepewności muzycznej, przede wszystkim intonacyjnej, zbyt trudnego repertuaru wielogłosowego, a nie z jakoby związanej z wiekiem niemożności kontrolowania głosu. Te same osoby, które niemiłosiernie wibrują i fałszują w chórze wielogłosowym, śpiewają śmiało, głośno i czysto jednogłosowe pieśni tradycyjne. W dodatku inspirują w ten sposób innych wiernych do aktywnego śpiewu.

Opowiadam się więc zdecydowanie za upowszechnianiem jednogłosowych pieśni tradycyjnych. Znajdują się one jeszcze wciąż tuż pod powierzchnią pamięci wiernych, nawet jeśli oni sami nie mogą samodzielnie udźwignąć zadania ich wykonania. Jeżeli w kościele jakaś grupa ludzi zna tekst i śpiewa go mocnym, pełnym głosem, to niebawem także inni dadzą się porwać ich przykładowi. Śpiew tradycyjny był zawsze śpiewem głośnym, od serca. Natomiast dzisiaj modlitwa śpiewana kojarzy się powszechnie z mruzeniem pod nosem.

Śpiew wielogłosowy, polifoniczny również przewidziany jest przez Konstytucję: *Nie wyklucza się ze służby Bożej innych rodzajów muzyki kościelnej, zwłaszcza polifonii, byleby odpowiadały duchowi czynności liturgicznej (...)* (KL VI, 116). Śpiew wielogłosowy obecny jest w liturgii Kościoła rzymskiego od wielu wieków, ale warto pamiętać, że statystycznie stanowił on tylko margines, pewne uzupełnienie monodii liturgicznej. Komponowany był zresztą zwykle z czysto świeckich powodów.

Najczęściej towarzyszył liturgii sprawowanej przy okazji szczególnych uroczystości dworskich, wymagających nadzwyczajnej oprawy. Śpiewały go wyjątkowe kapele u wyjątkowo bogatych możnowładców. Nazajutrz powracano do śpiewu jednogłosowego, będącego — jak do dziś — właściwym śpiewem liturgii.

W odczuciu przeciętnego Europejczyka wielogłosowość jest sztuką wyższego rzędu. Jednak polifonia jest formą liturgicznie trudną. Konieczność jednoczesnego myślenia "w poziomie" (w trosce o prowadzenie melodii własnego głosu) i w pionie (czyli dbając o zharmonizowanie poszczególnych dźwięków z innymi głosami) jest dużym obciążeniem technicznym, wymaga bardzo sprawnego aparatu wykonawczego i wykształcenia specjalnej umiejętności odbioru. Ta umiejętność jest dostępna w rzeczywistości bardzo wąskiej grupie ludzi, starannie wykształconej wyłącznie w obrębie kultury europejskiej.

W Konstytucji mowa jest też o nowych kompozycjach muzycznych: Muzycy przejęci duchem chrześcijańskim wiedzą, że są powołani do pielęgnowania muzyki kościelnej i wzbogacania jej skarbcza. Niech tworzą melodie, które posiadałyby cechy prawdziwej muzyki kościelnej i nadawały się nie tylko dla większych zespołów śpiewających, lecz także dla mniejszych chórów i przyczyniałyby się do czynnego uczestnictwa całego zgromadzenia wiernych (KL VI, 121). Kompozycje te mogą stanowić cenne uzupełnienie liturgii, zwłaszcza tam, gdzie tradycyjna muzyka liturgiczna nie istniała.

Warto w tym miejscu wspomnieć o propozycji, jaką przed 30 laty złożył Witoldowi Lutosławskiemu benedyktyn, ojciec Karol Meissner. Opierając się na założeniach reformy solesmeńskiej zaproponował mu skomponowanie chorału polskiego, według domniemanych ogólnych zasad konstrukcji chorału. Lutosławski odpowiedział: Monodia? Za trudna, nie potrafię.

Odmowa przyjęcia tak kuszącego i zaszczytnego zamówienia przez największego kompozytora polskiego XX wieku jest wymowna. Chorał moim zdaniem nie może zostać w ogóle w sposób odpowiedzialny skomponowany. Powstał bowiem w zupełnie inny sposób. Jako muzyka tradycyjna istniał "od zawsze" w postaci modułów retorycznych. Sam śpiewak składał te moduły z właściwą sobie maestrią. Umierając pozostawiał te same moduły następcom. W pewnym momencie, w niektórych kulturach, utrwalano te składania na piśmie. Nic więcej.

### **Kto jest odpowiedzialny za śpiew kościelny?**

Biskup, który jest odpowiedzialny za liturgię w administrowanej przez siebie diecezji, jest tym samym odpowiedzialny za śpiew liturgiczny. Biskupa należy uważać za arcykapłana jego owczarni. Od niego bowiem w pewnym stopniu pochodzi i zależy chrześcijańskie życie jego wiernych. Dlatego wszyscy powinni bardzo cenić życie liturgiczne diecezji, skupione wokół biskupa, zwłaszcza w kościele katedralnym (KL IV, 41). Ta odpowiedzialność nie znaczy jednak, że biskup zajmuje się na przykład kształceniem kapłanów. W zasadzie aż do XIX w. nie kształcono zakonników i kapłanów w zakresie umiejętności śpiewu (z wyjątkiem kantorów). Nauka odbywała się przede wszystkim poprzez stałe uczestniczenie w jednorodnej i całkowicie stabilnej liturgii. Był to najpewniejszy sposób.

Jednakże dziś tradycja jest słaba, zatem odpowiedzialność za wykształcenie muzyczne przechodzi z wolna na uczelnię, na której, pracując pod kierunkiem specjalistów, seminarzysta ma się po prostu nauczyć śpiewać. Sobór dostrzegł tę zmianę, jaka obiektywnie zaszła w Kościele i w następujący sposób zarządził rozwiązanie tego problemu: Należy przywiązywać dużą wagę do



teoretycznego i praktycznego wykształcenia muzycznego w seminariach, nowicjatach oraz domach studiów zakonników i zakonnic, a także w innych instytucjach i szkołach katolickich. Aby to wykształcenie zapewnić, należy starannie przygotować nauczycieli muzyki. Ponadto zaleca się zakładanie wyższych instytucji muzyki kościelnej. Muzycy zaś i śpiewacy, a zwłaszcza chłopcy, powinni także otrzymać rzetelne wykształcenie liturgiczne (KL VI, 115). Postulat ten jest realizowany opieszale. Kantorów nie szkoli się praktycznie nigdzie, powierzając ich obowiązki lepiej lub gorzej wykształconym organistom. System ten ma wiele wad. Po pierwsze, organy pełnią swoją funkcję akompaniowania śpiewowi w kościele niewiele dłużej, niż przez ostatnie sto lat. Wprawdzie znane były i używane w kościele o kilka wieków wcześniej, ale raczej zastępowały chór lub z nim dialogowały. Do akompaniowania śpiewowi całego zgromadzenia wiernych są zwykle zbyt ciężkie, zbyt od ludzi oddalone, nastrojone w systemie sprzyjającym śmiałym harmoniom, ale nie odpowiadającym tradycyjnym systemom strojenia śpiewu jednogłosowego. Do akompaniowania chorałowi gregoriańskiemu, czyli — przypomnę — śpiewowi własnemu Kościoła rzymskokatolickiego, nie nadają się w ogóle.

Sobór, mówiąc o organach, jasno precyzuje, że chodzi tu o organy piszczałkowe: W Kościele łacińskim należy mieć w wielkim poszanowaniu organy piszczałkowe jako tradycyjny instrument muzyczny, którego brzmienie ceremoniom kościelnym dodaje majestatu, a umysły wiernych podnosi do Boga i spraw niebieskich (KL VI, 120). O zastępowaniu organów piszczałkowych przez ich elektroniczny surogat nie chcę nawet wspominać. Jest to po prostu skandal, zarówno liturgiczny, jak i kulturowy. Taki bowiem instrument udaje coś, czym w istocie nie jest. Tymczasem liturgia nie jest udawaniem. Ma być aktem najszczerzym i prawdziwym.

Uważam więc, że bardziej niż grających z reguły na nieodpowiednich instrumentach organistów, potrzebujemy raczej wykształconych kantorów. W Kościołach wschodnich takie funkcje pełnią duchowni posiadający niższe święcenia. W zależności od konkretnych tradycji mogą to być śpiewacy, lektorzy lub diakoni. U nas dwie pierwsze funkcje sprawowane są bez specjalnego wykształcenia, trzecia zaś, jak dotąd, jest krótkotrwałym czasem oczekiwania na wyższe święcenia kapłańskie. Jest to jedna z przyczyn, dla których praktycznie zaniechano śpiewania Ewangelii, co należy do obowiązków diakona. Diakonów jest mało i nie mają oni czasu na rzetelną naukę tej ważnej części muzycznej celebracji Mszy Świętej.

W takiej sytuacji ratunkiem byłoby kształcenie zawodowych kantorów, którzy objęliby swoje funkcje przede wszystkim w kościołach katedralnych, mających dawać przykład najlepszej liturgii, a następnie w miarę możliwości w bazylikach i większych kościołach. Do ich obowiązków należałyby również konsultacje dla księży danej diecezji oraz prowadzenie zajęć ze śpiewu liturgicznego w seminariach i instytucjach zakonnych, czego domaga się soborowa Konstytucja, a co niemal w ogóle nie jest realizowane. Szersze wprowadzenie takich zajęć ułatwiłoby upowszechnienie nowych, często fundamentalnych odkryć naukowców i praktyków w dziedzinie śpiewu gregoriańskiego ostatnich kilkudziesięciu lat. Wizja takiego chorału nawiązuje na ogół do przerwanej tradycji dziewiętnastowiecznej, do żywej tradycji Kościołów wschodnich i śpiewu ludowego. Wyłania się z niej zupełnie dla nas nowy obraz śpiewu jednogłosowego, bogatego, ekspresyjnego, zdobnego, śmiało konkurującego z innymi rodzajami muzyki, nie tylko w liturgii, ale również w nagraniach i prezentacjach koncertowych. Wyłączenie chorału gregoriańskiego z ogólnego obiegu muzycznego,

jakoby z powodu szczególnej jego roli, przyczyniło się do wyjąłowienia i obniżenia poziomu samego śpiewu.

W tej chwili brak jest zarówno systemu szkolenia, jak i specjalistów. Mam szczegółowy plan powstania takiego zawodowego korpusu specjalistów i chętnie moimi doświadczeniami się podzielę.

Chociaż położenie nacisku na wykształcenie kantorów wydaje mi się dziś krokiem absolutnie niezbędnym, to byłoby to jednak rozwiązanie tymczasowe. Ze względu bowiem na szczególne powiązanie śpiewu z najważniejszymi aktami liturgicznymi, sprawą śpiewu powinni zajmować się przede wszystkim duchowni, tak jak się to działo dawniej w całym świecie chrześcijańskim, a w wielu Kościołach wschodnich dzieje się nadal. Naturalnie zdaję sobie sprawę, że ze względu na brak dostatecznego zainteresowania duchowieństwa sprawami śpiewu, brak stosownego wykształcenia, aktualne ukierunkowanie na zupełnie inne formy pracy duszpasterskiej, wreszcie zwykłe przeciążenie pracą, dziś taki postulat byłby zupełnie nierealny. Liczba powołań jest taka, jaka jest i w żaden sposób, żadnymi posunięciami organizacyjnymi jej nie zwiększymy. Ewangelicznych robotników zawsze było i jest mało. Dlatego niektóre lokalne Kościoły katolickie rozszerzyły możliwości otrzymania święceń diakonatu, wzorując się z jednej strony na starożytnych formach chrześcijaństwa, a z drugiej korzystając z dzisiejszych doświadczeń Kościołów wschodnich. Diakonami zostają więc nie tylko przyszli kapłani, ale również ludzie świeccy, żonaci, po odbyciu specjalnych studiów. Po przyjęciu święceń diakonatu wstępują oni na służbę kościelną, w której pozostają do końca życia. Pełnią w parafii funkcje pomocnicze, od administracyjnych i organizacyjnych, poprzez katechetyczne, poradnictwo rodzinne, aż do asysty liturgicznej, śpiewu i prowadzenia niektórych nabożeństw. Diakon, pozostając w pełnej łączności z biskupem i kapłanami, jest idealną osobą, której można powierzyć troskę o sprawy oprawy liturgicznej parafii, co znacznie odciąża od tych obowiązków zapracowanego kapłana. Upowszechnienie formuły diakonatu otwiera zupełnie nowe możliwości poświęcenia się tej specyficznej służbie także ludzi żonatych, jednak w szczególny sposób predestynowanych do oddania swych sił zawodowych dla dobra Kościoła. Łączę to wyraźnie z wizją odnowy śpiewu liturgicznego.

Wspomniałem już, że polscy biskupi, sprawując dziś liturgię, na ogół śpiewają. Pozostaje zatem dalej mieć nadzieję, że uda im się przekonać do tego samego kapłanów własnej diecezji. Niedawno brałem udział w uroczystości święceń diakonatu w jednym z klasztorów. Klerycy zaśpiewali przygotowane świeżo "Kyrie" gregoriańskie. Celebrujący biskup zrozumiał to jednoznacznie i pełnym głosem zaintonował po łacinie "Gloria in excelsis Deo" z tej samej Mszy gregoriańskiej. Tu nastąpiła konfuzja, ponieważ tego już klerycy nie umieli. Nie szkodzi. Na pewno zaraz się nauczą. Najważniejsze jest to, że biskup jednoznacznie reaguje na gest wysiłku w kierunku zachowania tradycji i natychmiast podejmuje współpracę.

### **Czy śpiew może być zagrożeniem jedności Kościoła?**

Gdy przed stu laty reformowano liturgię i chorał gregoriański, przedstawiono nowe dzieło jako jedyną, wspólną tradycję całego Kościoła. Miało to symbolizować jego jedność. W rzeczywistości było to założenie ahistoryczne, czysto ideologiczne i — jak się okazało — utopijne. Gdybyśmy dziś bronili absolutnie jednorodnej tradycji śpiewu gregoriańskiego, widząc wokół nas na każdym kroku kompletny rozpad jedności liturgicznej Kościoła, to byłoby to raczej dzieleniem włosa na czworo. W rzeczywistości takiej domniemanej jedności śpiewu nigdy nie było. Wynika to po pierwsze z samych

zasad funkcjonowania tradycji ustnej, po drugie z asymilacji różnych kultur przez różne Kościoły, po trzecie z nasilających się w drugim tysiącleciu skłonności do reform i stwarzania nowych form.

Wielość muzycznych tradycji potwierdzają źródła pisane. Widać z nich, że benedyktyni mieli wiele swoich lokalnych tradycji, cystersi mieli swoją, kartuzi własną, do dziś zachowaną, zakony żebracze miały tradycję zupełnie inną, z nowym, stworzonym w połowie XIII w. systemem zapisu, Rzym miał wcześniej własną liturgię pontyfikalną itd. Sobór Trydencki zatwierdził wszystkie tradycje starsze, niż dwustuletnie, widząc w tych różnicach bogactwo. Ale i w ramach jednej tradycji także były różnice i bywały również spory, zwłaszcza w Kościele zachodnim, gdzie tradycja rwała się tu i ówdzie.

Szersze zastosowanie notacji muzycznej paradoksalnie pogłębiło proces wykorzenienia tradycji. Najdoskonalsza notacja muzyczna nie zawiera nigdy całości przekazu. Korzystanie z niej w sytuacji braku ustnej tradycji prowadzi nieuchronnie do tak zwanej ortografizacji śpiewu, czyli śpiewania "tak, jak jest napisane", co może pozostawać w luźnym tylko związku z tym, czego zapis w przeszłości dotyczył. Podstawowym bowiem i właściwym nośnikiem tradycji jest nie pismo, lecz pamięć. Jedną z podstawowych wad reformy liturgicznej w ostatnich trzydziestu latach jest zupełne zagubienie roli pamięci, której się w liturgii prawie teraz nie używa. Wymyślanie wciąż nowych melodii i form powoduje niemożność korzystania z pamięci.

### Czemu nie dbamy o zabytki tradycji ustnej?

Czytając Konstytucję o liturgii świętej dochodzę do wniosku, że wiele tradycyjnych form liturgicznych nie musiało wcale zaniknąć. Reforma raczej dopuszczała istnienie nowych form, które potem z czasem zajęły pozycję monopolistyczną, nawet z pewną naganą w stosunku do zwolenników tradycyjnych celebracji. Jest to zwykły błąd neofity. Fatalnie przysłużyła się sprawie zachowania tradycji schizma lefebvrystów. Ich aktywność jest niestety powszechnie mylona przez rzesze duchowieństwa katolickiego z postulatami powrotu do podstawowych form zachowania kościelnej tradycji.

Problem polega jednak na tym, że minęło już trzydzieści lat i wielu starych form po prostu już nie znamy. Nie chodzi tu o znajomość rubryk, bo te można po prostu odczytać, ale o to, że prawie nie można już nauczyć się tych form od kapłanów, którzy by ich wciąż używali. Nie chodzi też przecież o sztuczny i pryncypialny zabieg archaizacji, tylko o żywy i naturalny przekaz formy modlitwy. Jedynie w takich warunkach skomplikowana symbolika napętnia się treścią, a nie jest tylko naśladowaniem pustych gestów. W tej chwili korzystanie z dawnych form jest trudne, ale nie niemożliwe, ponieważ żyją jeszcze ludzie, dla których formy takie są wciąż żywe.

Niepokoje mnie fakt, że na przykład dominikanie nie podtrzymują tradycji rytu dominikańskiego, uważając, że zmiany posoborowe nie zmiernają dziś w tym kierunku. To prawda, że dziś nie zmiernają. Ale czy za trzydzieści lat nie będziemy żałować, że za naszych czasów żyło jeszcze kilku ojców, dla których stary ryt był czymś naturalnym i który mogli sprawować równolegle do nowego?

Stoimy dziś na wyraźnym zakręcie liturgicznym i naprawdę nie wiemy, co będzie nam potrzebne za kilkadziesiąt lat. Łatwo powiedzieć, że tradycja obiektywnie zanika, ale trudniej wziąć na siebie za to odpowiedzialność. Wiem o czym mówię, bo sam czuję się winny wycięcia (dosłownie!)

kilku elementów — dziś już to wiem — żywej tradycji dominikańskiej w codziennym śpiewie liturgicznym. Wówczas ani ja nie posiadałem tej wiedzy, ani nie posiadali jej nawet sami dominikanie. Ludzie umierają, pokolenia wymieniają się szybko. Dlatego trzeba zachować w pamięci każdy element tradycji, nawet gdyby nie miał on stać się natychmiast środkiem używanym powszechnie. Do tego potrzeba jednak świadomości, zwykłej wiedzy o tradycji... i oczywiście szacunku dla niej. Jakże troskliwie przecież postępujemy z dobrami kościelnej kultury materialnej, na przykład z rękopisami! Tak się składa, że pisząc te słowa trzymam w ręku liturgiczne księgi syryjskie z VII wieku. Dla ich zachowania potrzeba dużo wysiłku, pieniędzy, starań wielu ludzi dobrej woli na całym świecie. Jakie to ma znaczenie dla Brytyjczyka, który łoży na konserwację tych rękopisów, a który nie zna ani tego pisma, ani tej kultury, a tym bardziej nie zna tej liturgii? Przecież on sam w żadnym stopniu nigdy z tego nie skorzysta. Może nawet nikt nigdy nie zdąży przeczytać tych ksiąg, ani nawet do nich zajrzeć. A przecież jest to oczywiste, że chronimy je wszelkimi sposobami, bo kiedyś, w nieznanym nam okolicznościach i przez nieznanym nam ludzi mogą one zostać wykorzystane dla ważnych i mniej ważnych spraw ludzkości. Cóż nas zatem upoważnia do tak lekkiego — żeby nie powiedzieć: lekceważącego — stosunku do własnej tradycji ustnej?

Nie chcę się wdawać w analizę ducha soborowych konstytucji, których język, jak powszechnie wiadomo, stanowił 30 lat temu istotne novum. Słowa nakazów i zakazów zmienił on raczej na słowa zachęty. Zatem "punkt ciężkości" przesunął się wyraźnie w stronę wolnej woli w działaniach każdego członka Kościoła. Konstytucje jednak zawsze zawierają pewien element formalny, podkreślony jako ważny i sformułowany klarownie, często "ostrym" językiem nakazu. Są to ramy, które powinny nam pomóc odnaleźć się w gąszczu nadmiernych możliwości. Na takie właśnie elementy chciałem zwrócić uwagę i sprawdzić, czy istotnie są one realizowane.

Czy zatem korzystamy z ofiarowanej nam przez Sobór pomocy? Nie wiem, jak w innych dziedzinach, ale w muzyce liturgicznej wskazania potraktowaliśmy jako nieistotne sugestie. Muzykę zarzuciliśmy w ogóle lub dokonaliśmy w niej głębokich zmian, odrzucając w ten sposób jej rolę w zachowaniu spójności formy liturgicznej i tradycji. Wpływ tych zmian na stan liturgii był tylko kwestią niedługiego czasu.

### Jak temu zaradzić?

W naszej dzisiejszej sytuacji, jak sądzę, należy ostrożnie i bardzo powoli powracać do celebracji łacińskiej, równoległe pracując spokojnie nad doskonaleniem polskich tłumaczeń w ten sposób, aby mogły zostać wyśpiewane przez tradycyjną gregoriańską melodię. Kiedy dość nagle zmieniono język na polski, razem z łaciną "wycięto" i muzykę. Szybkość tych zmian uniemożliwiła płynne przejście z zachowaniem tradycji. Nastąpiło jej przerwanie, co z punktu widzenia samej istoty liturgii jest poważnym błędem. Ale tak się stało i nawet gdybyśmy dziś złapali się nagle za głowę zobaczywszy, jak dalece nie stosujemy się do obowiązujących nas jako Kościół wskazań Soboru, to z bardzo wielu względów nie możemy z dnia na dzień powrócić jednym skokiem do używania liturgii łacińskiej. I wierni, i kapłani zaakceptowali tyle zmian w ostatnich czasach, że wykształcili w sobie zdolność kameleona. Właśnie dlatego nie należy tej niepotrzebnej i z gruntu antyliturgicznej zdolności mimikry rozwijać nadal, przez kolejne reformy czegoś, co ze swojej natury powinno być najbardziej stałe na tym świecie. Należy tu postępować w duchu rachunku sumienia popełnionych błędów, próbując odnowić nasz stosunek do tradycji i otworzyć się na niewyczerpane źródło duchowych doświadczeń.

Wielokrotnie mam możliwość przekonania się, że w konkretnych miejscach wierni jeszcze zupełnie dobrze pamiętają teksty łacińskie stałych części Mszy. Potrzebują tylko zachęty ze strony swych duszpasterzy.

W tym właśnie procesie łagodnego powrotu, z niespodziewaną pomocą może nam przyjść właśnie muzyka. Gdyby dziś ksiądz w Polsce nagle wyrecytował cały tekst Mszy świętej po łacinie, wzbudziłby wielkie zdziwienie wiernych, natomiast ten sam tekst łaciński zaśpiewany, przyjmowany jest na ogół naturalnie. Po prostu, kiedy ktoś do nas mówi, to oczekujemy od niego bezpośredniego przekazu znaczeniowego, jeśli więc ten ktoś używa "chińszczyzny", to nie wiemy, o co właściwie mu chodzi. Jednak jeśli ten sam, niezrozumiały tekst będzie uroczystie odśpiewany przez księdza, to odbierzemy go jako staranną celebrację i brak rozumienia pojedynczych wyrazów nie będzie nam przeszkadzać. Ponadto — jak już wspomniałem — w śpiewie czas płynie wolniej, co daje możliwość przypomnienia sobie polskiej wersji tego samego tekstu. Jednym słowem, zaśpiewanie tekstu liturgicznego po łacinie daje nam możliwość jego zrozumienia, przy jednoczesnym zachowaniu tradycyjnie uroczystego charakteru obrzędu. Sformułuję to jeszcze mocniej: uważam, że zalecane przez Sobór użycie łaciny w liturgii bez pośrednictwa śpiewu nie ma żadnych perspektyw.

Otwarcie się na doświadczenie tradycji Wschodu jest czymś, co stanowi wielką szansę dla odnowy liturgicznej Kościoła rzymskiego. Europocentryzm jest w tej dziedzinie całkowicie jałowy. Odtworzenie chorału gregoriańskiego w formie doskonałej monodii, bez otwarcia się na tradycje wschodnie, bez czerpania z doświadczeń wschodnich Kościołów, z natury tradycyjnych, jest skazane na niepowodzenie. Po prostu cywilizacja zachodnioeuropejska nie utrzymała takiego bogactwa monodii, w tym monodii liturgicznej, z którego mogłaby powstać dostatecznie dobra muzyka. Zacząć jednak należałoby nie od mechanicznego kopiowania bogactwa melodii, a od skromnej nauki podstawowego szacunku dla tradycji. Przede wszystkim dla własnej tradycji. Dopiero wtedy będzie można skorzystać z niektórych ważnych elementów, u nas zagubionych, gdzie indziej zaś na szczęście przechowanych.

źródło: Miesięcznik *Więź*, numer 3 (485)/1999 marzec